Cena 18 fen. — 13 cent.



ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 15-go Maja 1896. Nr. 10.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Ciąg dalszy.)

Przez ten nieopatrzny postępek, rozdzierający odrazu przed oczyma dziecka ułudną zasłonę przeszłości, dopiął on do pewnego stopnia celu, niszcząc złote marzenia córki, ale zarazem wywołał w jej duszy wrażenie niepokonanego smutku, objawiającego się żałobnym cieniem na jej twarzy, którego pomimo największych usiłowań nigdy już nie zdołał rozproszyć. Beata każdą wolną chwilę poświęcała teraz odczytywaniu pamiętnika matki.

Siedziała ona i teraz zatopiona w tych drogich dla siebie papierach i dopiero zapadający mrok oderwał ją od ulubionego zajęcia. Poskładała więc najstaranniej leżące przed sobą kartki i zamknąwszy je do komody, zaczęła się rozglądać po pokoju, dla przekonania się, czy wszystko było w porządku. Potem otworzyła okno i wciągając w pierś świeże wieczorne powietrze, przysłuchiwała się tajemniczemu szmerowi dochodzącemu od brzegów Missisipi.

Noc stawała się coraz ciemniejszą, a w miarę upływających godzin serce Beaty uderzało niespokojniejszem tętnem. Oczekiwała ona na ojca, który tego dnia jakoś dziwnie opóźniał swój powrót. Grał on owego wieczora w teatrze, a w takich razach rzadko ją zabierał z sobą. Lubił niekiedy wprawdzie ażeby jego córka w pysznej koncertowej sali, otoczona dobranem towarzystwem, podzielała jego tryumfy, ale w skromniejszych warunkach wolał ją pozostawiać w domu. Beata z największą chęcią poddawała się woli ojca, wynagradzając sobie chwilami swobodnego dumania i tak już za długie dla siebie godziny roztargnienia i gwaru.

Nie bez pewnej trwogi zatapiała natężony wzrok w ciemność nocną panującą na dworze, na tle, której zdawało jej się iż rozróżniała jakąś postać. Nareszcie niepewne zarysy zaczęły się uwydatniać i Beata poznała ojca. Szedł on bardzo powoli, jak gdyby pod wpływem niezwykłego znużenia; nareszcie wszedł do domu i Beata usłyszała parę wyrazów jakie zamienił z miejscową służbą, w sposób nierównie łagodniejszy niż zwykle. Ztęskniona wybiegła naprzeciwko niemu. Artysta z uniesieniem uści-

skał córkę i wszedłszy wraz z nią do mieszkania, dziękował jej za staranność z jaką przysposobiła wszystko na jego przyjęcie. Skrzętne usługi dziewczęcia zdawały mu się sprawiać nadzwyczajną przyjemność. Podczas wieczerzy opowiadał jej o dzisiejszym koncercie, który mu przyniósł daleko więcej korzyści niż się spodziewał, i poraz pierwszy od tak dawnego czasu wznowił sam rozmowę o podróży do Europy, odzywając się w te słowa:

— No, teraz już niezadługo będziemy mieli odpowiedni zapas pieniędzy; jak tylko pościągam wszystkie moje kapitały, natychmiast popłyniemy.

Wyrazy te wymówił niezmiernie słodkim i ujmującym głosem, wyciągając rękę do Beaty. Ona pochwyciła dłoń jego, niespokojnie spoglądając mu w oczy, zmiana bowiem jaka zaszła w jego głosie i obejściu dziwnie ją jakoś uderzyła. Przy jaśniejszem świetle wydawał jej się niezmiernie bladym, a jakkolwiek już od pewnego czasu twarz jego była coraz mizerniejszą, teraz jednak wyraźniej to spostrzegła.

— Musisz być bardzo znużonym, kochany ojcze? — zapytała z troskliwością. — Czy nie czujesz się cierpiącym?

— Ależ nie, moja droga Beato! — zaprzeczył z pośpiechem. — Czuję się tylko nieco spracowanym. Moje skrzypce zanuciły piosnkę, która przypomniała mi potrzebę odpoczynku... dodał nieco powolniej. Ale nie masz się o co obawiać, położę się nieco wcześniej niż zwykle, a jutro będę znowu zdrów i krzepki.

Po tych słowach niezadługo udali się na spoczynek, życząc sobie wzajemnie dobrej nocy. Ale ta noc dla artysty była już ostatnią. Choroba serca, z którą się dotąd ukrywał przed córką, nagłym zgonem przecięła jego niespokojne życie. Beata przeciwnie, nie przeczuwając grożącego niebezpieczeństwa, spała spokojnie, zdrowym, pokrzepiającym snem młodości i nazajutrz obudziła się bardzo rano. Wstała spiesznie i zaczęła jak zwykle krzątać się po domu, ale kiedy śniadanie już oddawna stało na stole, a ojciec nie pokazywał się, weszła po cichuteńku do jego pokoju. W zamyśleniu spojrzała na jego postać spokojnie wyciągniętą na łóżku, ale prawie natychmiast z okropnem uczuciem trwogi pochyliła się ku śpiącemu i zadrżawszy na widok siności, pokrywającej tę twarz tak piękną, pochwyciła jego ręce, ucałowała jego usta. Niestety! uścisk ten nie potrafił ich już rozgrzać, bo lodowaty chłód śmierci zawarł je na wieki.

Nagle okropna prawda stanęła jej przed oczyma. Nieszczęśliwe dziecię poznało całą grozę swojego położenia. Wskutek tego wypadku została nagle najbiedniejszą ze wszystkich sierót, samą pomiędzy obcymi ludźmi, bez opieki i przytułku na nieznanym dla siebie świecie. Takie położenie przewyższało siły Beaty; wydawszy przenikliwy okrzyk boleści, zachwiała się i padła bez zmysłów przy łóżku ojca.

W parę godzin później miejscowa służba, zaniepokojona niezwykłą ciszą w mieszkaniu artysty, gwałtem wyważyła drzwi i znalazła Beatę jeszcze w tem samem położeniu — bez zmysłów przy zwłokach ojca.

V.
Na pełnem morzu.

Po nieprzejrzanej wzrokiem morskiej przestrzeni, objętej błękitnym widnokręgiem niebios, okręt posuwał się ku Kanałowi Północnemu. Odbył on szczęśliwie długą podróż i opuściwszy dnia poprzedniego Southampton, płynął teraz przy ustawicznie sprzyjającej pogodzie z wielką szybkością ku wytkniętemu celowi podróży, z czego wielce cieszyli się podróżni spragnieni powrotu do domu.

Wyłączywszy sporą gromadkę ludzi zebranych na pokładzie, niewielu podróżnych znajdowało się po kajutach, szczególniej od chwili wypłynienia z Southampton, gdzie większa ich część powysiadała. Oprócz jakiejś małej rodziny niemieckiej, fryzyjskiego kupca z żoną i młodziutkiej Amerykanki, liczbę podróżnych dopełniało jedynie kilku młodych ludzi rozmaitej narodowości.

Jednym z nich był jakiś młodzieniec odznaczający się rozumną, otwartą fizyonomią.

Najpierw zawarł on znajomość z dziećmi, które pociągnięte wesołością jego, powzięły ku niemu od pierwszej chwili szczególniejsze zaufanie. Cudzoziemiec nie obrażał się ich poufałością, przeciwnie bawił się i rozmawiał z niemi, jak gdyby pomiędzy nim a dziećmi pod względem wieku żadnej nie było różnicy. Za przykładem dzieci poszli wkrótce i dorośli, którzy spostrzegli, że towarzystwo młodzieńca stanie się prawdziwą osłodą podróży dla wszystkich. Jedna tylko osoba nie zdawała się zwracać na niego najmniejszej uwagi. Młoda Amerykanka, która od samego rozpoczęcia żeglugi okazywała niezmiernie dumne i prawie odstręczające obejście względem wszystkich, zatopiona w sobie nie spostrzegła nawet towarzysza podróży, ale zato on poświęcił jej szczególne swoje zajęcie. Odosobnienie od wszystkich więcej go uderzało w tej wątłej istocie, aniżeli jej rzadka piękność.

To pozbawienie wszelkiej opieki w czasie tak długiej podróży, wzbudzało w nim głębokie współczucie połączone z pewnem uwielbieniem dla tak młodej kobiety, która swojem milczącem, pełnem godności zachowywaniem się umiała nakazać dla siebie ogólny szacunek. W czasie obiadów i wieczorami w ogólnym salonie rzadko kiedy mięszała się do rozmowy. Nie zawierała z nikiem ściślejszej przyjaźni, nie zapuszczała się w poufalszą rozmowę i umiała się zarówno obronić od zbytecznej troskliwości kobiet, jak i od rycerskiego nadskakiwania młodych panów. Takie postępowanie wywołało najrozmaitsze zdania o młodej cudzoziemce. Właściwie wiedziano o niej tylko tyle, że w Nowym Orleanie przybyła na okręt w towarzystwie jakiegoś podeszłego jegomości i została zapisaną na liście podróżnych jako miss Edyta Frinksly. Ale właśnie im mniej wiedziano, tem więcej wysnuwano wniosków.

— Przy całej swojej nieśmiałości, jest to osóbka aż zanadto pewna siebie, jeżeli jeszcze nie co gorszego! odzywały się niektóre nieprzyjazne głosy, podczas gdy ludzie przychylniej usposobieni tłumaczyli ją, twierdząc, że to miluchne, nieśmiałe stworzonko musiało otrzymać ścisły przepis zachowania się w czasie podróży, do którego się z dziecięcem posłuszeństwem stósuje.

Podróżni toczyli ożywione rozmowy o tem, jak długo jeszcze wypadnie pozostawać w drodze, obliczając ściśle każdą godzinę, która miała ich zbliżyć do upragnionego celu: ale na nieszczęście, wszystkie te wyrachowania okazały się mylnemi. Pogoda, stale sprzyjająca okrętowi w czasie tak długiej żeglugi, zaczęła się zmieniać. W nocy obrócił się kierunek wiatru, a okręt zaczął się gwałtownie kołysać wpośród wzburzonych bałwanów. Podróżni wyrwani ze snu zjawiali się jeden za drugim na pokładzie. Po długich dniach pomyślnej żeglugi, widmo zbliżającej się burzy, zakryte ciemnościami nocy, niewymowną trwogą przejmowało wszystkich. Napróżno zapewniali marynarze, że zmiana wiatru niewiele znaczy, daremnie kapitan starał się uspokoić umysły przekonywającemi słowami, niepodobna było uśmierzyć niepokoju jaki zapanował po kajutach. Damy narzekały, a dzieci płakały i krzyczały; przyczem wszyscy chwiali się na wszystkie strony przy gwałtowniejszych ruchach okrętu.

Uspokajające wyrazy mężczyzn, będące w sprzeczności z ich posępnemi twarzami, pomnażały jeszcze powszechne zamięszanie. Wpośród tego całego hałasu sama tylko miss Frinksly pozostała wierną swemu charakterowi. Nie mówiąc nic prawie, objęła silnie jeden słup kajuty i trzymając go obiema rękoma, stała patrząc przed siebie ze zwykłą spokojnością. Wprawdzie bladość na jej obliczu świadczyła o wewnętrznem wzruszeniu, ale mocno ściśnięte usta nie wypuściły najmniejszego okrzyku trwogi. Młoda dziewczyna raz tylko opuściła swe obronne stanowisko, ażeby dopomódz biednej matce do zabezpieczenia dzieci bezustannie przewracających się po ziemi.

Trwoga była zbyteczną, gdyż wraz z nadejściem poranku wiatr i wzburzenie bałwanów zupełnie ustały. Wprawdzie okręt podnosił się jeszcze i opadał niespokojnie, ale ruchy jego były już nie tak gwałtowne. Maszyna pracowała znowu z dawną siłą a w przekonaniu, iż odniosła zwycięztwo nad żywiołami, z tryumfem ciągnęła za sobą długie pasma dymu i pary. Wszystkie twarze rozjaśniły się na nowo, gdyż w miarę podnoszenia się słońca na widnokręgu, trwoga, obawa i troski podróżnych rozpraszały się.

Wesołe śmiechy i gawędka rozlegały się na całym okręcie, przerywane żartami, jakimi podróżni prześladowali się wzajemnie; ale im weselsze usposobienie panowało pomiędzy podróżnymi, tem posępniejszą stawała się twarz samego kapitana. Wiatr ciągle jeszcze wydawał mu się przeciwnym. Nagle uczuli wszyscy wstrząśnienie i w tejże samej chwili żywy niepokój powstał pomiędzy całą załogą. Przyczyna zaniepokojenia niezadługo wyszła na jaw, maszyna była uszkodzoną.

Ten wypadek wywołał wielkie wzburzenie pomiędzy podróżnymi; nietylko sama zwłoką żeglugi stała się powodem smutku i narzekań, przyłączyła się do niej jeszcze i trwoga, taka sama jaka panowała w ciągu upłynionej nocy.

Złowrogie uczucie niebezpieczeństwa opanowało bojaźliwszych, mimowolnie działając na odważnych.

Prześliczny widok przedstawiał poranek, rozpoczynający się przy najwspanialszym wschodzie słońca, mało jednak kto miał ochotę zachwycać się jego wdziękami. Dopiero za ukazaniem się białego żagla na widnokręgu przyjemniejsze uczucia ożywiły podróżnych, zamieniając w pewność nadzieję kapitana, iż jaki parowiec przepływający między Hamburgiem i Helgolandem wybawi ich z niemiłego położenia. Coraz bardziej zbliżające się żagle utwierdziły wszystkich w tej radosnej nadziei, tem więcej, że po zamienieniu sygnałów porozumienia kapitan nadpływającego parowca oświadczył, iż chętnie przyjmie na pokład podróżnych. Rzucono się z pośpiechem do zbierania pakunków. Przy tej czynności nastąpił jak zwykle ścisk i wrzawa; wszyscy bowiem pragnęli jak najprędzej poprzenosić swoje rzeczy do nadpływających łodzi.

Kapitan z równą uprzejmością spełniał swój obowiązek względem wszystkich i sam pilnował, ażeby kufer stanowiący cały pakunek miss Frinksly dostał się do łodzi bez uszkodzenia. Amerykanka podziękowawszy za jego dobroć, miała właśnie zamiar wsiąść do jego łodzi, kiedy wtem odwołano w inną stronę kapitana i została pozbawioną wszelkiej opieki. Chwiejącym krokiem wstąpiła na ukośno spuszczoną drabinę okrętową, ująwszy drżącą ręką za linkę zastępującą poręcz. Uczuła przytem zawrót głowy, pomimo to szczęśliwie dostała się na ostatni szczebel i już chciała wskoczyć do łodzi, kiedy nagle ta zaczęła tańczyć przed jej oczyma; jeszcze chwila a cudzoziemka byłaby wpadła do morza, wtem jakieś silne ręce objęły ją wpół i przeniosły szczęśliwie do łodzi.

Teraz dopiero zdoławszy się opamiętać, młoda dziewczyna zwróciła się ku swemu zbawcy i spostrzegła przed sobą piękną i rozumną twarz nieznajomego, który wsiadł na okręt w Southomptonie. Chciał on półżartobliwie przeprosić za swoję poufałą pomoc, ale słowa zamarły mu na ustach. Spojrzenie nieznajomej zawierało w sobie dla niego cały świat wdzięku i uczucia.

Wpośród ogólnego niepokoju, mały ten wypadek nie zwrócił prawie niczyjej uwagi, ale za to zbliżył do siebie dwie osoby i nadał pewne prawo nieznajomemu do dalszego czuwania nad ocaloną.

Ponieważ nie zwracał ku niej żadnych niedyskretnych pytań, mających na celu zbadanie tego, czego cudzoziemka dobrowolnie powiedzieć nie chciała, słuchała go z pewną przyjemnością, a lubo nie pozbyła się dawnej nieśmiałości, objawiała mu wdzięczność za doznaną pomoc i opiekę nad sobą. W końcu stała się nawet nieco poufal-

szą, ciągnąc dalej rozpoczętą rozmowę, w ciągu której objawiła mimowolnie głębokość myśli i dowcip, który coraz bardziej przemawiał do serca naszego porywającym blaskiem, w chwili gdy parowiec wymijał z szumem ławice piaskowe; pełna głębokiego zdumienia spoglądała na wysokie, czarne rusztowanie,



NAUKA SZYCIA NA IGLICZKACH.

młodziana. Ale najżywsze zajęcie objawiło się w naszej amerykance, skoro spostrzegła wynurzające się wybrzeża stałego lądu. Miss Frinksly wydawała się dziwnie ożywioną; oczy jej jaśniały służące jako drogowskaze żeglarzom, w chwili zbliżania się do ujścia Elby. Niemniej także okazywała zajęcia na widok latarni morskiej.

Z ciekawością patrzała na długie

magazyny o płaskich dachach, ciągnące się po obu stronach Elby, ponad któremi górowały tu i owdzie rozproszone domy i gromadki drzew wysokich, gdzieniegdzie przewyższone jeszcze przez wystającą wieżycę kościelną. Z nierównie większem ożywieniem oczy jej spoczęły na bardziej malowniczych miejscowościach, tam gdzie brzegi rzeki były posiane letniemi pałacykami, wiatrakami i rybackiemi chaty. Ale rzecz dziwna, wraz ze zbliżeniem się do wielkiego Hamburga i wpłynięciem do prześlicznej przystani, gasło stopniowo zajęcie amerykanki. Wzrok jej przebiegł prawie obojętnie całą przestrzeń, od masy lin, masztów i żagli, aż ku hamburskiej ulicy świętego Pawła, pełnej ruchliwego życia.

Takie usposobienie nie uszło uwagi jej towarzysza podróży. Powziął on silne współczucie dla uratowanej przez siebie dziewczyny; ofiarował jej najchętniej wszelką pomoc, zwłaszcza przy dokładnej znajomości Hamburga. Jednocześnie podał swój bilet wizytowy, na który dziewczyna rzuciła wzrokiem, wprzód nim znów spojrzała na mówiącego. Spojrzenia ich skrzyżowały się, ale źrenice amerykanki przysłoniła znowu długa rzęsa, w chwili gdy jak najspokojniej odpowiedziała:

— Tysiączne dzięki panie Ostitz, ale cel mojej podróży jest tak dokładnie wytknięty, że przy mojem amerykańskiem nawyknieniu opiekowania się samą sobą, będę mogła łatwo znaleźć drogę.

Słowa te tak stanowczo odpychały wszelką opiekę, iż bez towarzyszącego im spojrzenia mogły były nawet obrazić Ostitza. Nie sprawiły mu one przyjemności, jednak to chwilowe uczucie niechęci nie osłabiło rozbudzonego w jego duszy zajęcia.

Zwróciwszy się ku niemu ze wzruszającem uczuciem zaufania i dziecięcej nieśmiałości, prosiła, ażeby jej pomógł wydostać się na ląd wraz z pakunkiem i tam zawołał doróżki, któraby ją zawiozła do dworca kolei żelaznej, gdzie już będzie umiała sama znaleźć dalszą drogę.

Miss Frinksly bezpiecznie dostała się do doróżki, a jej uprzejmy przewodnik podał woźnicy wyraźny rozkaz dokąd życzyła sobie jechać.

Nim powóz ruszył z miejsca, cudzoziemka wyciągnąwszy do nieznajomego rękę, podziękowała mu z taką serdecznością za jego dobroć i opiekę, że młodzieniec zapominając o swojem postanowieniu dotyczącem zbytecznych pytań, odezwał się nieśmiało:

— A nie mógłbym mieć szczęścia dowiedzieć się, komu los pozwolił mi oddać tak małą przysługę? Nie raczyłabyś mi pani powiedzieć nazwiska, z którem połączy się dla mnie wspomnienie tak mile przepędzonej podróży...

Amerykanka cofając rękę, dodała dawnym obojętnie brzmiącym głosem:

— Miss Edyta Frinksly z Nowego Orleanu.

Ta lakoniczna odpowiedź sprowadziła Ostitza na drogę powszedniej grzeczności światowej, o której był prawie zapomniał wśród gorącego współczucia, jakie w nim budziła ta młodziuchna dziewczyna, puszczająca się bez żadnej opieki w tak odległą podróż.

Ukłoniwszy się odpowiedział krótko:

— A więc szczęśliwej podróży, miss Frinksly!

— Raz jeszcze pan przyjmij odemnie podziękowanie! — odpowiedziała Edyta, ale długie rzęsy nie odsłoniły głębokich oczu, które raz tylko niezapomnianem spojrzeniem utonęły w twarzy Ostitza. Młodziuchna miss pożegnała jedynie wdzięcznym ukłonem towarzysza podróży, następnie poprawiła się na siedzeniu, zapuściła na twarz woalkę i dorożka ruszyła z miejsca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŚWIĘTY KAZIMIERZ.

I.

Z berłem w prawicy, a w złotej koronie
Zasiadł król Kazimierz na Jagiełłów tronie,
Przy nim małżonka w królewskiej purpurze,
W około tronu złotego, podnóże
Nadobnym wieńcem okrążyły dziatki:
Maleńki Zygmunt tuli się do matki,
A Aleksander i Jan Olbracht młody
Ozdobni krasą rozkwitłej urody,
W dzielnej postawie, ze swobodą w oku,
Stoją milcząco przy ojcowskim boku.
Za nimi młodzian z pochyloną głową
Oparł swą rękę o poręcz tronową,
Włos mu w pierścieniach na ramienia spada,
Dziwnie twarz jego żałosna i blada,
A pomrok smutku wydatny na czole
Ukrytą w duszy zwiastuje niedolę.
Czyż królewiczu! tobie łzy przystoją,
Gdy Bóg rodzinę umiłował twoją?
Twój wiekopomny dziad, wielki Jagiełło
Dokonał w Litwie nawrócenia dzieło:
Stryj twój Władysław siejąc Boże ziarno,
Krew z młodej piersi wytoczył pod Warną,
Gdy ród twój z Bogiem trwa w świętem przymierzu,
Czemuż ty płaczesz młody Kazimierzu?
Płacze królewicz — bo w starym Krakowie
Z za gór Węgierscy stanęli panowie,
I teraz oto schyleni przed tronem,
Sławiąc majestat potrójnym pokłonem,
Słynną młodziana zniewoleni cnotą,
Zdają mu berło i koronę złotą.
Lecz królewicza blask tronu nie mami;
Wielkość on swoję opłakuje łzami:
Bo młodzian w ducha przeczuwa pokorze,
Że ziemska chwała pozbawić go może
Tej promienistej, a cudnej korony,
Jakiej nie znają dotąd Jagiellony.

II.

Noc na Wawelu, w starej katedrze
Blado kaganiec oświeca mury,
Czasem księżyca promień się przedrze
Przez rozpostarte nad ziemią chmury.
Tylko niekiedy w ciszy grobowej
Głucho godzinę zegar uderzy,
Albo w dzwonnicy zakwilą sowy,
Albo zakraczą krucy na wieży.
Czyż to aniołów przeczyste pienia
Hymnem ku Maryi zgodnie zabrzmiały?
Aż drżą kościoła ciemne sklepienia,
Gdy płynie w niebo cudna pieśń chwały.
I hymn przenika w głębokiej ciszy
Królewskich komnat bliskie podwoje,
Król je zasłyszał — królowa słyszy,
W kościoła progi idą oboje,
Idą przejęci trwogą tajemną
Za cudnym dźwiękiem pieśni nieznanej.
W świętym przybytku pusto i ciemno,
Słabo kaganiec błyska na ściany,
A na uboczu w głębi kaplicy,
Kędy z dzieciątkiem cudnem na łonie
Anielska postać Boga-Rodzicy
W djamentowej świeci koronie,
Klęczy królewicz: z jasnego lica
Krąg promienisty wokoło bije;
Wyższa mu siła ducha zachwyca,
Świętemi usty sławi Maryję.
Rodzice padli na twarz w pokorze,
I łez strumieniem zlewają ziemię.
Dzięki, wołają, dzięki Ci Boże!
Żeś umiłował Jagiełłów plemie.
A gdy umilkły pienia młodziana,
Król się odezwie drżąco i z cicha:
„Idź miły synu za głosem Pana,
Nie tobie ziemska przystała pycha,
Niech przeczystego twojego czoła
Złota korona próżno nie gniecie:
Do swych ołtarzy Pan ciebie woła,
Idź Kazimierzu — tyś Boże dziecię!“
Młodzian się w Bogu święcie weseli,
Brzmią znowu pieśnią przybytku ściany,
I na podzięki wtórzą anieli
Hymn ku Dziewicy Niepokalanej.

III.

Niedługo świętym gościć na ziemi!
Rychło Kazimierza Bóg wziął do siebie,
Łzami go naród płacze rzewnemi,
Lecz się anieli radują w niebie;
I w lilijowem wieńcu na czole,
W pośród Wojciecha i Stanisława,
W polskich patronów przesławnem kole,
Na straży młody Kazimierz stawa.
Święty! co wiernie z niebem w przymierzu
Żywot przeżyłeś w dni twoich dobie,
Czuwaj nad nami o! Kazimierzu,
Uświęć nam serca, wiedź nas ku sobie,
Błyśnij nam światłem Twojej pochodni;
A gdy nam w znoju siły nie starczą,
Spraw, byśmy Twojej opieki godni
Doszli zbawienia pod Twoją tarczą.

Ks. prałat Juliusz Prądzyński.

Wspomnienie pośmiertne z dyecezyi chełmińskiej.

Przed półtora rokiem straciło społeczeństwo polskie męża, który w dyecezyi chełmińskiej stał na straży tak religii jako i narodowości, a z którym ściśle złączone są dzieje Polaków-katolików w prowincyi zachodniopruskiej. Mężem tym był ksiądz prałat Prądzyński. Na niego to obywatelstwo nasze na krańcach wschodnich patrzało przez lat kilkadziesiąt jako na wzór kapłana-obywatela, a kilka pokoleń młodych lewitów, korzystając z ojcowskich rad i wskazówek swego przodownika, wychowało się na prawdziwych pomazańców Bożych, równie pożytecznych Kościołowi św. jak i społeczeństwu polskiemu.

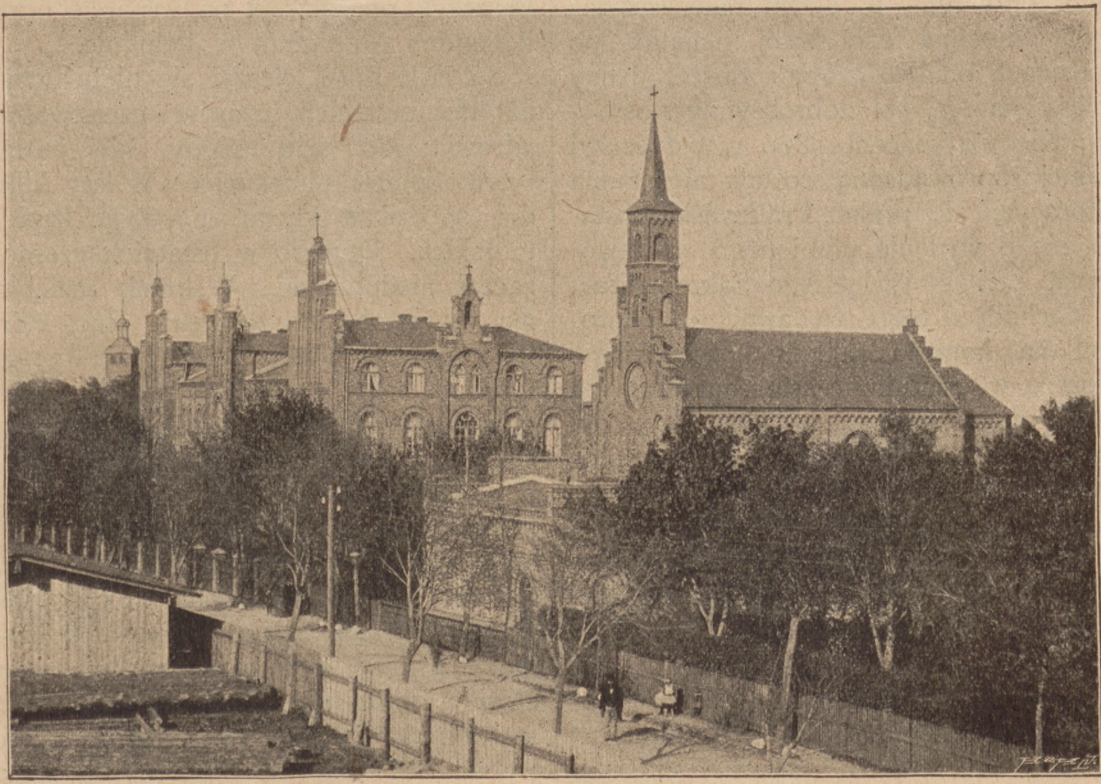


Ks. prałat Juliusz Prądzyński.

Ś. p. Juliusz Prądzyński urodził się 20-go Września 1818 roku w powiecie złotowskim w Prusach Zachodnich, w Objezierzu, wsi między Chojnicami a Tucholą położonej a należącej do kościoła filialnego w Silnie, do parafialnego zaś w Ostrowitem. Rodzicami jego byli zacni małżonkowie Rafał i Anna z Jezierskich, dziedzice majętności Skarpy. Nauki gimnazyalne pobierał w Chojnicach. Uzyskawszy świadectwo dojrzałości, słuchał filozofii i teologii na uniwersytecie we Fryburgu badeńskim i na akademii w Monasterze, razem z przyjaciołmi od ławy szkólnej Klińskim (który zmarł jako kleryk) i Rookiem (który zmarł jako proboszcz w Garczu pod Pelplinem). Odbywszy kurs praktyczny w seminaryum duchownem w Pelplinie i wyświęcony na kapłana 14-go Kwietnia 1844 r., promował się w Monasterze na licencyata świętej teologii. Urzędował potem jako wikary przy Królewskiej kaplicy w Gdańsku i w Oliwie a jako administrator probostwa w Kamieniu. W tym czasie (1845 r.) towarzyszył też ksiądz Prądzyński księdzu biskupowi Anastazemu Sedlagowi do Monasteru na obchód 50 letniego jubileuszu biskupiego ówczesnego biskupa monasterskiego, ks. Kaspra Maksymiliana Droste-Vischering, który był bratem sławnego arcybiskupa kolońskiego Klemensa Augusta. Ten obchód wzruszył tak młodego kapłana, że opisał go w osobnem dziełku, z którego dochód przeznaczył na cel dobroczynny. Z wiosną 1846 roku odbył podróż do Rzymu, gdzie uzyskał posłuchanie u Ojca świętego Grzegorza XVI-go, krótko przed zgonem tegóż.

W jesieni 1848 r. został ks. Prądzyński powołany na profesora religii przy gimnazyum w Chojnicach i pozostał na tym urzędzie aż do Wielkiejnocy 1854 r., kiedy otrzymał probostwo w Nowem nad Wisłą. Jednakże już po roku opuścił takowe, ponieważ ks. biskup Sedlag, otaczając go szczególnymi względami, mianował go po dziesięciu zaledwie latach kapłaństwa, dnia 11-go Października 1855 r. kanonikiem przy kościele katedralnym w Pel-

plinie i krótko potem radzcą duchownym, przekazując mu doniosły dla nas Polaków wydział w sprawach szkólnych. Na stanowisku tem poznał on dokładnie położenie nasze w dziedzinie wychowania publicznego i wtedy już uczuł naglącą potrzebę utworzenia jakiego zakładu wychowawczego dla dziewcząt polskich w Prusach Zachodnich. Urzeczywistnienie usnutych naówczas planów swoich odroczyć musiał atoli do czasu dogodniejszego. Dnia 23-go Września 1-go Października 1882 roku. Był też kaznodzieją tumskim od r. 1859 aż do 1868 r. Dnia 29-go Marca 1870 r. postąpił na dziekana tumskiego i od tego czasu przez nieomal lat 25, aż do śmierci miał główny nadzor nad kościołem katedralnym. W swoim czasie był też członkiem komitetu, który zajmował się wystawieniem figury Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia, jaka teraz zdobi plac tumski. Przez dłuższy czas należał także do komitetu Stowarzyszenia św.



Kościół i Dom Najśw. Panny Maryi Anielskiej w Kościerzynie.

1856 r. umarł arcypasterz, a kapituła obrała najmłodszego kanonika, ks. Prądzyńskiego zarządzcą majątku biskupiego. Na liście kandydatów na biskupstwo, jaką kapituła ułożyła, stał kanonik Prądzyński podobno na czele, bo najwięcej głosów otrzymał. Rząd go jednak nie przyjął i obranym został biskupem ks. Jan Nepomucen Marwicz, ówczesny dziekan tumski. Ks. kanonik Prądzyński i za rządów tego biskupa pozostał radzcą duchownym i to aż do Bonifacego i św. Wojciecha, a przez 18 lat był przewodniczącym w zarządzie Stowarzyszenia św. Józafata.

Uznając wszystkie te zasługi księdza Prałata, starał się biskup Marwicz o to, aby mu przynajmniej wyjednać godność biskupa-sufragana, lecz i te zabiegi pozostały bez skutku.

Na początku Września 1894 r. nadał mu Król Wilhelm II order orła czerwonego czwartej klasy. Od nas należy się nieboszczykowi wdzięczna pa-

mięć szczególnie za to, że nietylko założył, lecz także i utrzymywał Dom Najśw. Maryi Panny Anielskiej do kształcenia dziewcząt i nauczycielek w Kościerzynie. Z upoważnienia biskupiego powołał on w końcu roku 1861 Panny Urszulanki do zarządzania tym zakładem, a gdy te po pół roku go opuściły, Siostry Wincentki, które nim aż do wydalenia ich przez ustawę klasztorną z r. 1875 kierowały. Od tego czasu zarządzają nim nauczycielki nie zakonne. Przepyszny gmach zakładu i piękny kościół przy nim, to dzieło nieboszczyka, który nieomal cały swój majątek po rodzicach odziedziczony i zaoszczędzony grosz na ten cel dobroczynny poświęcił. Kiedy z końcem 1866 r. w dyecezyi naszej zaprowadzoną została nieustanna adoracya, ks. prałat Prądzyński postarał się o wydanie ulubionego »Przewodnika czci Najświętszego Sakramentu«, a dochód z tego wydawnictwa ofiarował na korzyść zakładu kościerskiego. Jeszcze w ostatnim czasie zajmowała go myśl powiększenia zakładu tego, już nawet jest kosztorys odnośny wygotowany i fundusz na przybudowanie przez niego przysposobiony.

Dnia 14-go Kwietnia 1894 roku obchodził ks. prałat Prądzyński 50-letni jubileusz kapłaństwa.

Długa jego praca zaznaczyła się niejednem, co zapisało się głęboko w pamięci społeczeństwa naszego, bądź to na polu wychowania i oświaty ludowej, bądź też w dziedzinie rozmaitych dzieł pobożnych. To też zebrał się komitet, który w dniu tym chciał wyrazić jubilatowi uczucia wdzięczności i wysokiego szacunku. Dowiedziano się jednakże, że solenizant dzień ten w zaciszu i skupieniu ducha przepędzić pragnie. W szczupłem przeto tylko kole najbliższych swych krewnych i przyjaciół przepędził dostojny jubilat ten dzień uroczysty, tam gdzie przed 50 laty i prymicye był odprawił, t. j. w Skarpie, dziedzicznym Prądzyńskich majątku. Jak być inaczej niemogło, otrzymał przy tej sposobności zaszczytne uznania, wysokie godności i kosztowne upominki. Najprzewielebniejszy ks. biskup Redner wręczył mu nominacyą papiezką na prałata domowego Jego Świętobliwości Ojca św. Leona XIII a niedługo potem na Protonotaryusza apostolskiego (z uprawnieniem do noszenia infuły). Akademia monasterska przysłała mu dyplom na doktora św. teologii. Miasto Kościerzyna mianowało go obywatelem honorowym. Prześwietna kapituła chełmińska podarowała mu kielich drogocenny; obywatelstwo zebrało fundusz, który nieboszczyk przeznaczył na wsparcie uczni kollegium Marianum w Pelplinie.

Z łaski Bożej cieszył się nieboszczyk aż do ostatnich czasów czerstwością zdrowia; do wód nigdy nie jeździł i tylko przed mniej więcej 8 laty kilka dni spędził w Pucku, używając kąpieli morskich. Dopiero w ostatnich czasach zaczął niedomagać. Wskutek zaziębienia wywiązało się zapalenie płuc, które było powodem śmierci. Dnia 11-go Grudnia 1894 r. o godzinie $8^1/_2$ rano, opatrzony św. Sakramentami, zamknął sędziwy weteran służby Bożej powieki, a piękna dusza jego, czysta i szlachetna, stanęła przed tronem Najwyższego, by zdać rachunek z 76 lat życia i z górą 50 lat kapłaństwa swojego. Człowiek, co w skrzętnej pracy uzdrawiania dusz ludzkich i w niestrudzonem krzewieniu chwały Bożej spędził tak piękny wiek, stanął pokorny choć nieustraszony przed trybunałem Stwórcy. Pokorny dla tego, że wszystko co pełnił dobrego, stało się z natchnienia Bożego; nieustraszony zaś z tej przyczyny, ponieważ zacnym swym żywotem zdobywał zawsze łaskę i błogosławieństwo Niebios, a nieskazitelnością swą, skromnością i akuratnem spełnianiem przyjętych obowiązków, torował sobie zawczasu drogę do wiecznego szczęścia. Szanowne szczątki śp. ks. prałata Prądzyńskiego pochowano dnia 17-go Grudnia 1894 r. w Pelplinie. Ciało złożono w grobowcu w tumie po stronie Lekcyi, tam gdzie pochowani zostali swego czasu biskupi i sufragani Wilkxycki, Kutowski, Dekowski i Jeschke. K. K.

GRANICA WIELKANOCY.

W początkach chrześciaństwa, chrześcianie pochodzenia żydowskiego obchodzili Wielkanoc (Passah) i Święta Zielone wraz z hebrejczykami, dając im wszakże znaczenie chrześciańskie pamiątek Chrystusowych.

Żydzi zaczynali swoje miesiące od nowiu księżyca, mianowicie od pierwszego ukazania się jego w formie sierpa, na zachodniej stronie nieba. Czternasty dzień odtąd liczony, był dniem pełni księżycowej. Pierwszy miesiąc wiosenny Nizan był miesiącem, w którym się odbywało święto Passah, w dniu pełni, a więc dnia 14-go. Chrześcianie święcąc w dniu tym święto baranka, uznawali baranka wielkanocnego żydowskiego za symbol Chrystusa i pamiętali przez to ostatnią wieczerzę Jezusa z uczniami. Następujący dzień, dzień 14-ty księżyca, był dniem męki Zbawiciela; dla ówczesnych chrześcian był on dniem postu i pokuty; a dzień trzeci, czyli 16-ty księżyca, był pamiątką zmartwychwstania. Tak święcono Wielkanoc, Paschę, bez względu na dni tygodniowe, w których te uroczystości przypadały.

Ten obyczaj zachowywany był także przez chrześcian z pochodzenia pogańskich ludów, którzy w blizkiej styczności żyli z chrześcianami pochodzenia żydowskiego.

Inny obyczaj powstał u chrześcian oddalonych od wpływów żydowszczyzny, mianowicie w gminach chrześciańskich na ziemi egipskiej, pod przewodem patryarchów kościoła Aleksandryjskiego. U tych była przyjętą zasada odłączania świąt swoich od terminów żydowskich. Gminy te święciły niedzielę, jako dzień wesela i dziękczynienia Bogu, bo w ten dzień nastąpiło zmartwychwstanie. Piątek zaś każdy, przez pamięć na mękę Jezusa, był dniem postu i pokuty. Według tych zasad starano się zachować pamiątkę rocznicy ukrzyżowania i zmartwychwstania Chrystusowego, przeznaczając taką niedzielę na radosny dzień Wielkanocy, która tej rocznicy odpowiadała. W dniu 15-tym księżyca miesiąca Nizan, a więc w pierwszym dniu po pełni tego miesiąca, został Jezus Chrystus ukrzyżowany; był to Piątek. W dniu 16-tym księżyca, po szabasie żydowskim, Jezus Chrystus zmartwychwstał. Był to dzień Niedzieli: a była to pierwsza niedziela po pełni księżycowej miesiąca Nizan, pierwszego miesiąca wiosennego. Postanowiono więc obchodzić Wielkanoc w pierwszą niedzielę po pierwszej pełni wiosennej.

Jakiekolwiek w początkach chrześciaństwa były różnice w obchodzeniu tego święta, nie wytaczano z tego powodu sporów. Dopiero w drugim wieku powstały sprzeczki o sposób obchodzenia Wielkanocy i właściwy czas tego święta. Powstawano mianowicie przeciwko tym, którzy świętowali z żydami, obchodząc baranka wielkanocnego w czternasty jakikolwiek dzień miesiąca Nizanu.

Spory te z mniejszą lub większą goryczą były prowadzone aż na soborze nicejskim w roku 325 zwołanym dla spraw aryańskich, uchwalono także postanowienie wspólnego przez wszystkich chrześcian obchodzenia Paschy. Pod wyrażeniem paschy rozumiano już wówczas święto zmartwychwstania i postanowiono, ażeby gminy Wschodu, które dotąd obchodziły paschę z żydami, odtąd obchodziły ją wraz z gminami egipskiemi w niedzielę.

Postanowienie to, w listach Konstantyna do biskupów nieobecnych na soborze, rozesłane było gminom; wszakże uchwała ta nie była objętą kanonami soboru. Przekroczenie nie było zastrzeżone karami, z obawy, aby ztąd nie wynikła stanowcza na razie secesya i odstępstwo. Starano się tylko tem postanowieniem Quartadecymanów, to jest obchodzących z żydami czternasty dzień księżyca, na zgodną drogę naprowadzić. W tym celu także polecono kościołowi w Aleksandryi, ażeby zwierzchnicy jego co roku dzień Wielkanocy obrachowywali i innym kościołom naprzód zapowiadali. Zaostrzenia postanowień soboru nicejskiego nastąpiły dopiero w r. 341 na soborze antiocheńskim, na którym postanowiono ostre kary na tych, którzyby pożywali paschę dnia 14-go księżyca i poważyli się święcić dzień zmartwychwstania w inny dzień, nie w niedzielę. Obyczaj taki uważany był odtąd za herezyę.

Właściwa reguła zaś, stanowiąca o dniu Wielkanocy, która się w chrześciaństwie powoli ustaliła, bierze swój początek od połowy trzeciego wieku w Aleksandryi. Dokładne oznaczenie terminu wiosennego, to jest wiosennego porównania dnia z nocą było jej podstawą. Wówczas to wiosenne porównanie dnia z nocą przypadało dnia 21-go marca. Postanowiono więc, że pełnia przypadająca 21-go marca lub najbliższa po nim, jest granicą Wielkanocy. Pierwsza niedziela po tej pełni jest dniem Wielkanocy.

Jeźliby pełnia graniczna przypadała w niedzielę, odłożono Wielkanoc o tydzień, aby jej w żadnym razie nie obchodzić z żydami. To co od roku do roku miało być zapowiadane kościołom chrześciańskim przez patryarchów aleksandryjskich, stało się regułą niezmienną, przez przyjęcie dnia stałego, który się wówczas zgadzał zupełnie z niebem.

Jakkolwiek biskupi aleksandryjscy, stosownie do postanowienia soboru nicejskiego, spełniali obowiązek zapowiadania innym dnia **paschy**, to jednak nie wszędzie w tym dniu święcono. Zachód szczególniej począł się odróżniać i odmiennej trzymał się rachuby.

Według zasad wprowadzanych na zachodzie, różnili się rzymscy chrześcianie w obchodzeniu wielkanocy od chrześcian greckich rozmaicie; o tydzień, cztery lub pięć tygodni. Biskupi aleksandryjscy, których obowiązkiem było czuwać nad jednostajnością obchodu, nie zaniedbywali ze swej strony właściwych upomnień i toczyły się o to pisemne z łacinnikami spory. Spory te doprowadziły do tego, że i na zachodzie między biskupami powstały niezgody i niektórzy wcześniej na własną rękę przyjęli rachubę aleksandryjczyków, inni zaś trzymali się reguły odmiennej. W sporach tych i niezgodach mijały setki lat.

Przyczyną tych różnic była różnica w pojęciu następującej kardynalnej okoliczności.

Jak nam wiadomo, do oznaczenia dnia Wielkanocy potrzebny jest związek trzech terminów: wiosenne porównanie dnia z nocą, pierwsza pełnia i dzień niedzielny. Sam fakt ukrzyżowania i zmartwychwstania Chrystusa termina te ku pamiątce naznaczył.

W kalendarzu ówczesnym, juliańskim, przyjęto według doświadczeń spostrzeganych na niebie, że nocorównia wiosenna przypada 21-go marca. Oznaczenie według tej daty pierwszej po niej niedzieli, nie ulegałoby żadnej trudności, ale warunkiem jest pierwszym, oznaczyć pierwszą po nocorówni pełnię.

(Dokończenie nastąpi).

MAŁPY.

Małpy (simiae) zamieszczane są na czele całego królestwa zwierzęcego, gdyż rzeczywiście, najwyżej rozwinięte kształty budowy ich ciała stawiają je najbliżej człowieka i to tak dalece, że przez niektórych uważane były za dzikich leśnych ludzi. Murzyni zaś w Afryce dotychczas mniemają, że goryl jest rzeczywiście dzikim człowiekiem, który tylko z obawy, aby go nie zaprzągnięto do pracy, trzyma się zdala od ludzi i udaje że nie posiada mowy. Im dalej zstępujemy niżej w szeregu małp tem więcej ich głowa przybiera wydłużone kształty pyska zwierzęcego, a coraz bardziej wydłużający się ogon zaciera stopniowo to podobieństwo ich do człowieka. Pozostają tylko ręce, a tych wyżej rozwinięte gromady posiadają aż cztery, tak że je słusznie nazwano czwororękiemi (quadrumana); dla niższych gromad ta nazwa nie jest odpowiednią, gdyż u nich ręce znajdują się tylko na zadnich kończynach.

Małpy są zwierzętami przeznaczonemi do zamieszkiwania w lasach i na drzewach; każda część ich ciała cel ten wyraźnie wskazuje, i te właściwości budowy, które im utrudniają chodzenie po ziemi, szczególnie sprzyjają czepianiu się po drzewach. Pod względem przydatności budowy ich organizmu do chwytania i swobodnego poruszania się, zajmują one pierwsze miejsce pomiędzy zwierzętami.

Ta doskonałość jednak polega nie na liczbie odnoży, ukształtowanych na podobieństwo rąk, ale na ich zdolności nadawania się do rozmaitych użytków. Okazuje się to już w ich chodzie, który jest inny niż dwunogiego lub czworonożnego zwierzęcia. Nie chodzą one w wyprostowanej postawie człowieka, nakazującej poszanowanie, ale też chód ich nie jest chodem czworonoga. Ukośny kierunek stawów stóp, w połączeniu z odstającym, dającym się zestawiać z innemi, wielkim palcem, zmusza je do stąpania na zewnętrznym brzegu zadnich stóp i powoduje kołyszący się, chwiejny chód, przy którym małpy zmuszone są podpierać się gałęzią z drzewa ułamaną, albo własnemi, długiemi rękami.

We właściwym sobie żywiole są one mistrzami i najruchliwszemi ze wszystkich zwierząt; niektóre tylko z większych gatunków są ociężałe, inne zaś najlepszymi linoskokami. Skoki na dwadzieścia do trzydziestu stóp, jak opisuje Brehm, są dla nich igraszką; ze szczytu

drzewa zeskakują z wysokości trzydziestu stóp na koniec gałęzi, siłą tego wstrząśnienia zginają ją na dół, a gdy gałąź przez sprężystość swoją wraca do poprzedniego położenia, potężnym rzutem wzbijają się znowu w górę; wyciągnięte zadnie nogi i ogon służą im zamiast steru, a zwierzę jak strzała przerzyna powietrze. Zaledwie małpa dosięgła zamierzonego celu, już czyni dalsze skoki, wśród kolących cierni, z taką łatwością jakby chodziła po gładkiej posadzce. Pnące rośliny stanowią dla niej wygodne schody, a pień drzewa utartą drogę. Włażą na drzewa przodem i tyłem, głową do góry i głową na dół, po wierzchu lub pod spodem gałęzi. Jeśli będą wstrząsane na drzewie, wtedy chwytają się gałęzi i wiszą na niej cierpliwie, dopóki ruch gałęzi nie ustanie, a wtedy włażą na nią tak spokojnie, jakby się znajdowały na równej ziemi. Jeśli się gałąź złamie, wtedy spadając chwytają się innej, a gdy i ta ich ciężaru nie wytrzyma, to znajdzie się trzecia, a w ostatecznym razie upadek nic dla nich nie stanowi. Czego nie zdołają uchwycić przedniemi rękami, tego dosięgną zadniemi, albo chwytnym ogonem, jak małpy nowego świata, a ten je mocno utrzyma. Ogon służy im za ster przy dalekich skokach, ale też i do innych użytków, naprzykład jako drabina. U małp nowego świata ogon staje się piątą, a raczej pierwszą ręką. Na nim zawiesza się małpa i kołysze się do woli; ogonem wydobywa pożywienie ze szpar i rozpadlin; używa go jako schodów i zawieszona na nim zasypia.

Pomimo podobieństwa do człowieka, nic innego w małpach dopatrzeć nie można prócz karykatury ludzkiej. Oken opisuje małpę bardzo trafnie, mówiąc, iż podobna jest do człowieka we wszystkiem co jest złe i nieobyczajne. Są one złośliwe, fałszywe, uparte, złodziejskie i nieprzyzwoite. Wyuczają się łatwo rozmaitych figlów, lecz są przytem nieposłuszne i psują nieraz całą zabawę, występując z nienacka z własnym, wcale niepożądanym konceptem. Nie można małpie przyznać żadnej zalety, ani też jakiejkolwiek użyteczności dla człowieka. Służenie, stawanie na warcie, podawanie rozmaitych przedmiotów, wszystko to czynią dopóty, dopóki ta nowość je zajmuje. Przedstawiają one złe strony człowieka, zarówno w fizycznym, jak i w moralnem znaczeniu. Zabawną jest małpa tylko na chwilę, nie długo staje się wstrętną. Co dziwniejsza, im bardziej zewnętrzną swoją postacią małpa zbliża się do człowieka, tem jaskrawiej występują wszystkie jej szpetne własności; im dalej zdaje się być od człowieka, tem okazuje się łagodniejszą i ufniejszą. Należy jej jednak bezwarunkowo przyznać jedną cnotę, to jest nieograniczone przywiązanie do swego potomstwa. Chociaż w pieszczotach nie posuwa się tak daleko, aby miała swe dziecko w uściskach zadusić, to jednak zajmuje się niem bez przerwy i cała się dla niego w tej porze poświęca. Pełno jest rozrzewniających tego przykładów a podróżni opowiadają mnóstwo ciekawych podobnych wypadków.

Ztąd i u ludzi nadmierne przywiązanie do dzieci nazywane bywa małpiem przywiązaniem. Tak naprzykład opowiada G. Byam, że pewien podróżny chciał złapać żywcem młodą małpę i w tym celu wystrzelił do matki niosącej dziecko na ręku. Ale kula trafiła w ramię matki na którem właśnie dziecko siedziało; matka objęła je drugiem, zdrowem ramieniem i usiłowała wspiąć się na drzewo; gdy się to jej nie udało, posadziła dziecko na swym grzbiecie i z pomocą drugiej, również ranionej małpy, czepiając się gałęzi, uszła szczęśliwie, ku wielkiemu podróżnika zadowoleniu. Ojczyzną małp są wyłącznie ciepłe kraje ziemi; w Europie znajduje się jeden tylko gatunek na najbardziej południowym krańcu Hiszpanii i to w niewielkiej liczbie.

Podzwrotnikowe lasy Azyi, Afryki i Ameryki są mieszkaniem całego małpiego rodzaju i rzecz szczególna, że małpy starego lądu w wielu charakterystycznych swych cechach wielce się różnią od małp nowego lądu.

Małpy starego lądu mają bez wyjątku bardzo wązką przegrodę nosową, tak że nozdrza skierowane są na dół, dalej 32 zęby, zupełnie podobnie rozmieszczone jak u człowieka, a na wszystkich palcach przednich i zadnich rąk płaskie paznogcie. Ogona wcale nie ma albo tenże jest krótki i gdy małpa stanie na zadnich łapach, sięgający tylko do ziemi, jak u Pawianów, albo równy jest długości ciała ale nigdy nie chwytny.

Małpy nowego lądu mają bez wyjątku szeroką przegrodę nosową, tak że nozdrza skierowane są na boki. Ogon zawsze długi, przewyższający długość ciała i albo chwytny, tak że może służyć za piątą, najważniejszą rękę, albo zwisły jak u kotowców; uzębienie zawiera o 4 trzonowe zęby więcej, razem zatem 36 zębów. Trzecia, nieliczna rodzina małp z pazurami, z bardzo długim, puszystym ogonem, ma wprawdzie tylko 32 zęby, ale przednie kończyny są rzeczywistemi łapami bez wielkiego palca dającego się składać z innemi, na zadnich, tylko wielki palec opatrzony jest płaskim paznogciem, inne zaś palce mają pazury: ztąd i nazwisko tych małp.

Z tego widzimy że w przyrodzie nie ma nagłych przeskoków i że przejście od jednej do drugiej klasy, jako też pomiędzy drobniejszemi poddziałami, zawsze jest stopniowane.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SYN TĘPICIELA WILKÓW.

(Ciąg dalszy.)

Nieszczęsna kobieta popadła w umysłowy obłęd. I tak siedziała dnie całe w miejscu, czy to w skwarze słonecznym czy w wilgoci, w kurzu czy błocie, wyrzekając skargami, aż włosy jej porosły siwe na głowie, a twarz piękna niegdyś stała się pomarszczoną i postarzałą przedwcześnie. Stawiano obok niej napój i jedzenie, którem posilała się nocą, jak gdyby była dzikiem zwierzęciem. Nikomu jednakże nie czyniła krzywdy żadnej, czasem widywano ją, jak przerywając swe wyrzekania, kładła się na ziemi i łkając rozpacznie wołała całemi nocami na męża i syna, których imiona przywarły do ust jej spieczonych gorączką bólu.

Wiele lat upłynęło; Ram Lal i Gunga zostali zapomnieni, a niepocieszona matka zestarzała się w obłędzie swoim i z wypłakanemi oczyma, z koroną siwych włosów nad czołem, wyglądała jak zmora. Dzieci uciekały przed nią strwożone, a rodzice ich daremnie usiłowali usunąć ją do innej jakiej wioski. Nic jej nie zdołało nakłonić do opuszczenia obranego przez siebie miejsca. »Jeżeli się oddalę ztąd, mawiała, gdzież mnie syn mój Gunga szukać będzie, gdy powróci do domu?« albo; »Gdzież żona oczekiwać ma na powrót pana swego i małżonka, jeżeli nie tam gdzie ją zostawił?

A gdzież był Gunga przez te wszystkie lata?

Po długiej i nużącej podróży, odbytej w towarzystwie nieznajomych sobie ludzi, szczelnie przykryty wóz ciągniony białemi wołami zatrzymał się przed słynną świątynią, poświęconą czci bogini Doorgi... Kobieta cała zakwefiona, wiodąc za sobą dzieci, weszła w głąb chaty, prowadzona przez przewodnika, który torował jej drogę. Nazajutrz mały Gunga pastuszego pochodzenia, ze znakiem Brahminów na czole i na dłoniach, z srebrnym odłamkiem monety zawieszonym na szyi na święconej przędzy — sprzedanym został kapłanom świątyni, jako prawy potomek brahmińskiego rodu.

Doorga bowiem, najokrutniejsza z bogiń indyjskich, rozkoszowała się widokiem łez i cierpień ludzkich. Dla zje-

dnania sobie jej łaski, składano na ołtarzu żywe ofiary, dla jej przyjemności męczono zwierzęta dniem i nocą. Kapłanom sprawiającym obrządki w świątyni, dostarczano zdaleko kradzionych dzieci, których tajemnicze zniknięcie o rozpacz przyprawiało rodziców. Takim to sposobem mały Gunga przyłączonym został do zgromadzenia, zawczasu przyuczając się do duchownego obrządku; z postępem lat, młodociany umysł jego rozwijał się tak szybko, iż wkrótce prześcignął mistrzów swoich i po dalszą naukę udał się do innej jeszcze świątyni. Tam także zadziwił wszystkich niepospolitą bystrością swoją i niczem niezaspokojoną żądzą wiedzy, która go gnała z miejsca na miejsce, przez puszcze i zarośla, od świątyni do pustelni, gdzie tylko zasłyszał o uczonym jakim, z ust którego zaczerpnąć mógł mądrości i wiedzy jakiej łaknął. Na wędrówkach tych upłynęło lat trzydzieści, Gunga w sile i rozwoju męzkiego wieku uchodził sam teraz za jednego z najbardziej uczonych i najsłynniejszych mędrców w swoim kraju. Nikt nie wiedział, że był on nizkiego chłopskiego pochodzenia, bo święconą przędzę ze srebrną przełamaną rupią całe życie swoje nosił na szyi, tak iż w końcu sam uwierzył, że rodził się z wybranej i bogom poświęconej kasty Brahminów. A jednakże często Gunga, arcykapłan Doorgi, słynny prorok świątyni Goodawezy — najświętobliwszy Brahmin na całej przestrzeni między Benares a Komorin, zatapiał się w głębokim smutku i mienił się być najnieszczęśliwszym z całej rzeszy ludzkiej.

— Dwukrotnie urodzony z dwukrotnie zrodzonego! — wołał lud, korząc się przed jego dostojeństwem; — a on myślał sobie z goryczą: Nie mam matki!

— O wielki synu święconej rzeki! potężny, pierworodny synu bóstwa! — witano go zewsząd, ścieląc się do stóp jego kapłańskich. A on domawiał sobie w duchu: Nie mam ojca!

I żal straszny, tęsknota bezmierna ogarniała duszę jego. Każda najbardziej upośledzona jednostka na świecie, nawet trędowaty, który przychodził do niego o zmroku, nawet żebraczka wiodąca za sobą gromadkę zgłodniałych i obdartych dzieci — wszyscy wydawali mu się godnymi zazdrości. Mieli węzły jakieś rodzinne, wspomnienia z lat młodych — wreszcie groby ojca i matki i jeden choćby, jedyny, maleńki kącik na ziemi, który droższym im był nad cały obszar świata. A on nie miał nic — nic zgoła, prócz czci służalczej ludów, które chyliły się aż do ziemi, aby ucałować kraj jego szaty, prócz sławy rozbrzmiewającej daleko nad brzegami święconej rzeki, prócz wielkości, która ciężyła mu jak płaszcz z królewskiej purpury. Nie miał ojca, ani matki, ani rodzinnego domu.

I nieraz on, którego dotknięcie posiadało moc zabezpieczania budynków od działań czarnoksięzkich, on, którego czcił i wielbił naród cały, myślał sobie w duchu, że wolałby być pastuchem otoczonym rodziną niż Brahminem samotnym, na wyżynach świątobliwości swojej. Serce jego łaknęło pieszczot macierzyńskich, które nigdy, jak zapamiętał, nie spoczęły na poświęconem jego czole; dusza rwała się do uczuć synowskich, które tęsknem echem odzywały się w głębi strasznej próżni, którą odczuwał dokoła. Lecz gdy przychodziły mu myśli podobne, wzdrygał się przed niemi jak przed pokusą. On — pastuchem?! Czyż mógłby spotkać kogo los okropniejszy od tego? — Zawdzięczać życie swoje wzgardzonemu pokoleniu... wywodzić się z poniżonej kasty... On, który gdy ukazywał się na ulicy, otoczony był tłumem ludu, co cisnął się by dotknąć śladów, jakie stopy kapłana zostawiły na piasku, on dla którego nikt w kraju nie był godzien wody zaczerpnąć ze studni... on miałby równać się z pastuchem, tą najnikczemniejszą na świecie istotą, na którą bóstwa i ludzie bez pogardy spojrzeć nie mogli! Na tę myśl ohydną Gunga, upokorzony i zawstydzony przed sobą samym, modlił się i przepraszał Doorgę.

Syn Ram Lala tak się stał sławnym, że gdy był w podróży, ludność całych wiosek wylegała naprzeciw niemu, a najuczeńsi z księży i najświętobliwsi z pustelników zdaleka przychodzili zasięgać jego rady. W miastach, przez które przejeżdżał, władcy i rajachowie wychodzili z całym orszakiem na spotkanie jego, prosząc by zaszczycił pałace książęce pozostając w nich jako mistrz i doradca panującego; ale Gunga nie dał się zwracać z drogi — z tej samej drogi, którą, lubo tego nie pamiętał, przebywał kiedyś dzieckiem z uwodzicielami swymi. I tak krok za krokiem, powoli zbliżał się do rodzinnej wioski i do studni, przy której stęskniona, obłąkana matka siedziała dniem i nocą, wyglądając powrotu utraconego jedynaka.

Noc zapadła, błyszcząca gwiazdami, które na uśpioną ziemię i sioła tysiące sennych spuściły blasków. Wszyscy należący do orszaku Gungi poszli spać pod drzewami, on tylko jeden, według swego zwyczaju, czuwał, modląc się do późnej nocy. A gdy tak stał w cieniu palmowego drzewa, z bladą twarzą zatopioną w gwiaździstem niebie, zdało mu się, że wiatr nocny, szeleszczący cicho między liśćmi, niesie mu zdaleka tęskne wołanie rozżalonego niewieściego głosu: »Gunga! Gunga! Gunga!« — Wyraz ten cichym jękiem rozpaczy wydobywać się zdawał z łkającej, skołatanej piersi, ale choć Gunga usłyszał go, wydało mu się, że to duchy z którymi obcować zwykł — przemawiają tak do niego, dla tego też, nie przerywając sobie, trwał dalej w modlitwie.

Nazajutrz ruszyli w dalszą podróż mijając studnię, u stóp której sędziwa, obłąkana matka leżała w prochu, czekając na powrót swego syna.

Ale głos zasłyszany wśród ciszy nocy letniej nie przestawał dręczyć świątobliwego kapłana; daremnie usiłował zgłuszyć go — w każdej przerwie modlitwy czy rozmowy, słyszał go zawsze wzywający ratunku. We śnie i na jawie łkanie kobiece niosło mu rozpaczne wołanie: »Gunga! Gunga! Gunga!« — budząc nieznany niepokój w jego duszy, który z dniem każdym wzrastał i potęgował się, pozbawiając powieki jego snu a serce swobody. Nie śmiał jednakże zwierzyć się z tem swoim kapłanom, bo byliby w prawie pewiedzieć mu: »Gdzież władza twoja? Rozkazujesz duchom, a tego jednego nie możeszże zmusić do milczenia?«

Następnego roku straszny głód padł na kraj cały, a lud tłoczył się do świątyni, błagając kapłanów o pomoc. Wiele wsi okolicznych całkiem zostało opustoszonych, drapieżne zwierzęta ściągały z gór, swobodnie żerując po gościńcach; jeden nawet ludożerczy tygrys obrał sobie legowisko tuż opodal Aheeryi.

Stara Perła, siedząca wciąż pod wyschłą od żaru słonecznego studnią i podtrzymująca życie w sobie nie wiadomo jakim sposobem, usłyszawszy o tygrysie, roześmiała się obłąkanym śmiechem, wyzywając przechodniów:

— Czym wam nie przepowiadała, że Ram Lal powróci, i że wtedy żony wasze będą wdowami a matki bezdzietnemi?!

Lud rozzłoszczony groził, że ją zabije, ale ona nie dbała o życie.

Głód szerzył się dalej, a Gunga daremnie usiłował przebłagać Doorgę, składając na jej ołtarzu tysiące krwawych ofiar. Okrutna bogini lubowała się widokiem łez i rozpaczy ludzkiej, to też od rana do nocy rzesze płaczącego ludu szły żałobną procesyą od świątyni do rzeki, i noc jasną była od rozpalonych na piaskach pogrzebowych stosów. A jednak, choć ofiar padało tysiące, bogini zdawała się jeszcze nienasyconą, głód nie ustawał.

Gunga był w rozpaczy; lud szemrał przeciw niemu, cisnąc się dokoła świątyni z przekleństwem na zgłodzonych ustach. Zdawało mu się, że dla przypodobania się bogini, poświęca lud cały, nie usiłując ratować go modlitwami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

PO CIEMKU.

HUMORESKA.

Jeżeli kiedykolwiek, czytelniku, odbywałeś piechotą wycieczki w góry, pamiętasz, z jakiem uczuciem rozkoszy, po całodziennych trudach, wyciągałeś się na łóżku. Właśnie ja z moim przyjacielem, poczciwym Jasiem, zająwszy jeden pokój w hotelu, poszliśmy spać wcześnie, żeby nabrać sił do jutrzejszej podróży. Wypoczynek należał nam się słusznie, gdyż drogomierze, któreśmy zawsze mieli z sobą w kieszeni, wskazywały, żeśmy uszli tego dnia trzydzieści pięć kilometrów.

Jaś zasnął odrazu, ale odemnie sen stronił uparcie; daremnie wszelkich używałem sposobów, żeby się zmusić do spania: rachowałem do stu, wyliczyłem wszystkich Faraonów nic nie pomagało. W końcu zacząłem recytować wiersze mego utworu; był to środek heroiczny ale niezawodny, tym razem jednak i on nie dopisał: ziewnąłem kilka razy lecz nie zasnąłem.

Minęła może godzina, w końcu zmęczenie zaczęło brać górę; czułem, że drzemię, błoga nadzieja snu już przenikała moją duszę, wtem rozbudził mię jakiś hałas. Z początku odurzony mój umysł nie mógł sobie zdać sprawy, coby to było: burza, turkot powozu, czy łoskot machiny? Natężyłem słuch i wstrzymałem oddech w piersi: to mysz chropotała w przepierzeniu.

Zły na siebie, chciałem zasnąć, ale sen, spłoszony hałasem, na dobre uleciał ode mnie. Mimowoli nasłuchiwałem, czy mysz chropocze jeszcze; niegodziwa, jakby chciała mnie drażnić, przestawała od czasu do czasu, i znów rozpoczynała swoją robotę. Doprowadzony do największej pasyi, pochwyciłem za but i z całej siły cisnąłem go w stronę, skąd dochodziło chropotanie. Niestety but uderzył w mur, tuż nad głową Jasia i, spadając, obudził go. Poczciwy mój przyjaciel nie rozgniewał się, lecz obróciwszy się na drugą stronę, zasnął powtórnie

Mysz ucichła na chwilę, ale wkrótce znów usłyszałem chrupanie jej ząbków. Nie mógłem wytrzymać i cisnąłem w nią drugim butem. Tym razem stłukłem lustro, i znowu obudziłem Jasia; zamiast mnie zwymyślać, powiedział z westchnieniem:

— Jakie to szczęście, że masz tylko dwa buty.

I zasnął znowu. Rozrzewniony jego dobrocią, zacząłem doznawać wyrzutów sumienia i postanowiłem, że prędzej zniosę największe katusze, niżbym miał obudzić go po raz trzeci.

Mysz w końcu wyniosła się swoim kosztem, ale ja zupełnie wybiłem się ze snu. Miałem gorączkę; pragnienie okropnie mi dokuczało; wtedy przyszła mi do głowy myśl rozpaczliwa: dam za wygranę bożkowi, ubiorę się, wyjdę na dziedziniec, i napiwszy się wody, spędzę resztę nocy, paląc cygaro.

Zdawało mi się, że potrafię ubrać się po ciemku, nie obudziwszy Jasia. O szukaniu butów, rzuconych za myszą, nie mogło być mowy, ale przecież miałem pantofle, a noc była ciepła. Włożyłem wszystko na siebie, brakowało mi tylko jednego pantofla; zacząłem go szukać na czworakach, lecz nie mógłem znaleźć. Jak na złość, za każdem poruszeniem, podłoga trzeszczała, każdy potrącony przedmiot wydawał łoskot tak donośny, że mógł wzbudzić alarm w całym domu.

Czołgałem się dość długo po ziemi, co chwila uderzając głową o krzesło Dziwna rzecz, skąd się ich tyle wzięło w pokoju? przedtem nie zauważyłem więcej nad dwa. Moje poszukiwania były wciąż bezowocne, a jednak zdaje mi się, że nie było cala kwadratowego podłogi, któregobym nie obmacał ze sto razy. Gdzie ten przeklęty pantofel mógł się podziać? Czułem, że coraz większy gniew mię ogarnia, że krew mi uderza do głowy i z gorączkowym pośpiechem włóczyłem się po ziemi, w najrozmaitszych kierunkach.

Doprowadzony do wściekłości, postanowiłem dać za wygraną i wyjść na dziedziniec boso. Podniosłem się i poskoczyłem w stronę drzwi, ale zamiast znaleźć klamkę, uderzyłem głową o lustro. To mnie zupełnie zbiło z tropu, nie wiedziałem gdzie jestem i w którą stronę się obrócić. Zrozpaczony, usiadłem na podłodze i zacząłem się zastanawiać; ten pokój wydał mi się inny niż przedtem, znacznie większy i inaczej urządzony. Niepodobna jednak, żebym nie mógł trafić do drzwi, przecież nie jestem idyotą?

Podniosłem się i na początek przewróciłem parasol; upadł z takim hukiem, jak gdyby strzelono z pistoletu. Zgrzytnąłem zębami i nadstawiłem ucha: Jaś się nie obudził. Ostróżnie postawiłem parasol w kącie, ale zaledwie odjąłem rękę, przewrócił się powtórnie jeszcze z większym hałasem. Jestem dobrze wychowany, a jednak zakląłem wtedy okropnie. Muszę znaleźć drzwi; macając mur rękoma, trafię do nich nakoniec. Jaś ani się ruszył; szczęśliwy człowiek! Spał, kiedy ja tłukłem się jak Marek po piekle.

Nie wiem po raz który rozpocząłem wędrówkę po pokoju. Znowu zrzuciłem obraz; był niewielki, a jednak spadając tyle narobił hałasu, jakby cała panorama się zawaliła. Zniechęcony, porzuciłem zamiar wyjścia i postanowiłem wrócić do łóżka; obok, na umywalni, stoi dzbanek z wodą, będę więc mógł ugasić pragnienie. Wiedziałem, że na środku pokoju

znajduje się stół, gdyż kilka razy potrąciłem głową o niego, on mi wskaże kierunek, w którym mam się udać.

Pełzając na czworakach, dostałem się nakoniec do stołu; naturalnie moja głowa naprzód o niego zawadziła. Potarłem czoło, (był to chyba dwudziesty guz z rzędu) i śmiało puściłem się dalej. Natrafiłem na krzesło, potem na mur, następnie na kij góralski, który się przewrócił, na kanapę, znów na krzesło, i znów na jakąś kanapę. Co u licha! przecież, o ile sobie przypominam, jedna tylko kanapa stała w pokoju. Cały potem oblany, znów zacząłem krążyć w około stołu, ale teraz już na oślep, ze złością, która mię dławiła.

Potrącam o umywalnię, stojącą obok łóżka Jasia: dzbanek pełen wody spada z łoskotem i jednocześnie rozlega się przeraźliwy krzyk mego przyjaciela:

— Ratujcie! Topię się!

Hałas rozbudził cały hotel. Do pokoju wpada rozespany kelner ze świecą w ręku, za nim właściciel, dalej służąca w nocnym czepku, a wreszcie tłum gości.

Rozglądam się w około: jestem o łokieć od łóżka Jasia, który otrząsa się z wody jak pudel; w pokoju stoi tylko jedna kanapa i dwa krzesła, a nieszczęsny pantofel, przyczyna wszystkiego złego, leży jak długi pod łóżkiem.

Położenie się wyjaśnia; kelner, służąca i podróżni wychodzą uspokojeni, wspaniałomyślnie odstępuję Jasiowi mojej pościeli, bo jego jest zupełnie przemoczona, a sam kładę się na kanapie.

Przedtem jednak spojrzałem na drogomierz: uszedłem tej nocy, na czworakach, dwanaście kilometrów!

O księżycu.

Księżyc jest planetą drugiego rzędu, który okrąża ziemię w 27 dni, 7 godzin i 43 minuty, czyli w przeciągu miesiąca gwiazdowego; brak atmosfery jest powodem, że na księżycu nie istnieją masy płynne — morza, jeziora, rzeki. Śladów życia na księżycu nie dostrzeżono; jeśli istnieje, musi się objawiać w innej formie niż na ziemi. Góry księżycowe przedstawiają się jako olbrzymie wulkany wygasłe. Wulkan Tychona jest na 5,000 metrów głęboki a szerokość jego średnicy wynosi 85,000 metrów; szerokość naszej Etny ma zaledwie 3,500 metrów średnicy.

Ogrodnicy i włościanie wierzą, że księżyc w Kwietniu oddziaływa zgubnie na rośliny; wskutek jego wpływu, więdną one. Ludwik XVIII chciał się dowiedzieć prawdy, zapytał tedy Laplace'a, co o tem myśli? Uczony, znienacka zaskoczony, zmieszał się.

— Najjaśniejszy Panie — odparł — badałem księżyc wiele razy ale kwietniowego księżyca nie znają w astronomii.

Król nie zadowolnił się odpowiedzią, a Laplace pospieszył do Arago i z nim zaczął ślęczeć nad pytaniem monarchy. W r. 1827 ogłosił następujące objaśnienie:

Przedmioty znajdujące się na powierzchni ziemi, podczas nocy pogodnych, wydzielają z siebie ciepło, które rozchodzi się w przestrzeniach niebieskich; wskutek tego temperatura może się zmniejszyć o 6—8 stopni. Skutkiem obniżenia tak nagłego jest marznięcie roślin. Zdarza się to zwykle podczas kwietniowych pełni. Jeśli niebo zasnute jest chmurami, marznięcie nie następuje, ponieważ chmury zwracają przedmiotom wydzielany cieplik.

Czy księżyc wpływa na wzrost drzew? Tego nie dowiedziono. Parville wykazał, że ziarna na nowiu zasiane, kiełkują i rosną prędzej niż zasiane podczas pełni. Zjawisko tłumaczył tem, że ziarno pierwsze ma czas do pełni zakiełkować i wydostać się z ziemi; dla tego roślina rośnie prędko zarówno w dzień jak w nocy. Ziarno zaś zasiane podczas pełni, wychodzi z ziemi dopiero około nowiu, ma mniej światła, więc rośnie wolniej.

O wpływie księżyca na ludzi, a właściwie na system nerwowy — nic pewnego powiedzieć nie można. Jakiś historyk z XIV wieku dowodził, że szał Karola VI zależał od zmian księżyca; Bacon podczas zaćmień księżyca wpadał w omdlenie; Menuret utrzymuje, że księżyc oddziaływa na wyrzuty skórne, osobliwie na świerzbę. Przytoczone fakta nie stanowią materyału naukowego, nic z nich wnioskować nie można.

U nas lud tłumaczy sobie zmiany księżyca w ten sposób: Matka księżyca wiele od syna doznaje przykrości. Księżycowi zachciało się gwałtem kożucha. Gdy mu uszyła za duży, księżyc zmalał — i kożuch okazał się za długim. Obcina tedy matka kożuch, a syn nagle urósł; i znów musiała kożuch dosztukowywać. Łatanina powtarza się ciągle, matka synowi dogodzić nie może — bo on umyślnie to się kurczy, to rozciąga.

Gościnny Francuz uśmiał się z naiwnej baśni, ale nie była dla niego nowością; coś podobnego opowiadają sobie wieśniacy bretańscy, tylko ich księżyc nie chodzi w kożuchu lecz w opończy.

Sztuczne chmury.

Przymrozki wiosenne są dla gospodarzy, zwłaszcza zaś dla właścicieli winnic strasznym nieprzyjacielem. Podobne przymrozki nocne lub ranne powtarzają się nawet wśród najcieplej-

szych dni czerwca. Zdarza się bardzo często, że temperatura w tym czasie spada do dwóch, trzech a nawet i więcej stopni poniżej zera. Nie dziw zatem, że latorośl winna i inne wątlejsze roślinki, jako i owoce w zawiązkach jeszcze nie zniszczeją zupełnie, to w każdym razie psują się i właściciele ponoszą ogromne straty. Pamiętny jest jeszcze rok 1881, kiedy to przymrozki Kwietniowe zniszczyły prawie wszystkie winnice w Alzacyi. Wtedy to jakiś burmistrz wpadł na tę myśl, ażeby urządzaniem sztucznych chmur uchronić w przyszłości właścicieli od szkód ze strony tak nieproszonego gościa. W około swych winnic kazał poustawiać kadzie ze smołą i przygotować pęki chrustu. Skoro zaś termometr, umieszczony w pobliżu, począł spadać, natenczas burmistrz kazał zapalać smołę, której dym, tworząc obłoki, roztaczał nad winnicami niejako zasłonę, która nietylko chroniła roślinność przed śronem, a więc zmarznięciem, ale nadto ciepłem swem usuwała śron z roślin i była niejako tą szatą, która je ogrzewała i przy życiu utrzymywała. Widząc pożyteczność tych kadzi, połączyli się ze sobą właściciele winnic i wszędzie zaprowadzali kadzie ze smołą. Co noc stały straże na posterunku, które miały obowiązek co pół godziny zaglądać do termometru. Strażnik widząc skłonność rtęci do obniżania się niżej zera daje sygnał dzwonkiem, którego dźwięk dochodzi po drucie elektrycznym do mieszkania wójta. Za kilka chwil bicie w dzwony budzi wieś całą a znowu za kilka chwil buchają gęste płomienie z zapalonej smoły i pod tworzącymi się kłębami dymu nawet nieba nie widać.

Koszt urządzenia chmur sztucznych obliczono na 4 marki od hektara, co w obec korzyści nie wchodzi wcale w rachubę. Jedyną niedogodnością jest konieczność utrzymywania licznej załogi do czuwania w nocy i zapalania kadzi ze smołą; syndykat (to jest związek właścicieli pomiędzy sobą) winnic w około Kolmaru utworzony dla wywoływania sztucznych chmur używał w razie potrzeby 140 osób.

Wynaleziono jednak sposób zastąpienia ludzi elektrycznością. Budują się zapalacze automatyczne, połączone z odpowiednim przyrządem elektrycznym, które rzucają silne iskry na kadzie i doły ze smołą, jak tylko przyrząd zostanie nastawionym. Do obsługi dość jednej lub kilka osób. W ten sposób za pomocą drutów transmisyjnych, łączących kadzie smolne z przyrządem, wytworzyć można na wielkiej przestrzeni sztuczne chmury, zabezpieczające winnice i ogrody od przymrozków.

Rólnicy nasi, którym przymrozki wiosenne dają się również niemało w znaki, mogliby wziąść pod głębszą uwagę ten sposób zabezpieczania zasiewów przed przymrozkami. Koszt ten znowu nie tak wielki a w każdym razie niknie wobec korzyści.

Rady dla podróżujących.

Zazwyczaj jadąc koleją żelazną, wybiera się wagony najwięcej oddalone od lokomotywy pod pozorem, że są mniej narażone na wypadki. Jest to zdanie niczem nieusprawiedliwione: wagony umieszczone bliżej lokomotywy więcej wprawdzie dostają iskier i dymu, zato ostatnie najczęściej podlegają wykolejeniu i wrazie spotkania się pociągów na największe narażone są niebezpieczeństwo, podobnie jak pierwsze wagony za lokomotywą. Najlepiej więc wybierać wagony środkowe i przedziały takie same.

Drugą ważną kwestyą dla podróżnego jest wybór miejsca. Jak lepiej jest siedzieć: czy z twarzą zwróconą ku lokomotywie czy też tyłem do niej? To ostatnie jest lepsze, gdyż w przeciwnym razie narażamy się na przeciągi i dym z lokomotywy idzie wprost na twarz.

Czy dobrze jest czytać w wagonie? Niewątpliwie książka lub dziennik stanowią bardzo miłą rozrywkę kiedy niema odpowiedniego towarzystwa, ale z punktu zdrowia stanowczo musimy potępić czytanie w wagonie. Ciągłe wstrząśnienia, nieustanna zmiana w położeniu oka, są bardzo szkodliwe dla wzroku, a przytem u osób nerwowych wywołują migreny i dokuczliwe bóle głowy. Lepiej więc już rozmawiać z sąsiadami lub wyglądać przez okno.

W podróży zaleca się jeszcze umiarkowanie w jedzeniu i piciu, a zwłaszcza wystrzeganie się napojów gorących.

Obfite zastósowanie zimnej wody, a zwłaszcza kąpiel zimna lub ciepła, nietylko jest potrzebna dla utrzymania w czystości ciała narażonego w podróży na większe zanieczyszczenie, ale zarazem pokrzepia po trudach i usuwa zmęczenie.

Praktyczne rady.

— **Tępienie chrabąszczy.** Umieszcza się w ogrodzie, zagrożonym przez szkodnika, beczkę wewnątrz grubo smołą wysmarowaną, i w niej się stawia latarnię. Chrabąszcze gromadnie ciągną do światła, krążą dokoła niego, a dotykając nogami i mackami osmolonych ścian, stają się niezdolnymi do ucieczki i upadają na dno. Jeden z ogrodników francuskich zbiera w ten sposób co noc po 100—120 kwart chrabąszczy, które potem służą mu za nawóz.

— **Próba dobroci wody.** Dla przekonania się, czy woda jest zdatną do picia, można następujące uczynić doświadczenie: w czystą flaszkę z białego szkła wlewa się wodę, zatyka szczelnie korkiem i stawia na kilka dni na oknie, w zwykłej, pokojowej temperaturze. Jeżeli po

tygodniu nie utworzy się na dnie brunatny lub zielony osad, woda jest dobrą; w przeciwnym razie stanowczo nie zdatną do picia.

Rozmaitości.

* **Ogrodownictwo** najpóźniej rozwinęło się w Anglii, którą pod tym względem wyprzedziły inne kraje Europy. Rzymianie wprawdzie zasadzili wiśnie w hrabstwie Kent, w roku 45 po Chrystusie, ale jeszcze za panowania Henryka VII (1485 do 1509) miano słabe pojęcie o warzywnictwie, owocarstwie i hodowli kwiatów. Cebula i pietruszka uchodziły w roku 1503 za przysmak, a kiedy Katarzyna Aragońska zażądała sałaty podczas choroby, musiano ją sprowadzić z Flandryi. Wspomnianej królowej zawdzięcza Anglia wprowadzenie lilii białej i goździków. Kapustę zaczęto uprawiać w r. 1510, selery wprowadził w r. 1704 francuski marszałek Tallard, wzięty do niewoli w bitwie pod Hochstaedt.

* **Piorunochron** uważany jest za wynalazek Benjamina Franklina, znany jednak już był starożytnym Egipcyanom. Na piętnaście wieków przed Narodzeniem Chrystusa, przy bramie każdej świątyni, wznosili oni potężne wieże, a na nich wysokie maszty drewniane, obite miedzią, przeznaczone do ściągania piorunów. Do tego samego celu służyły obeliski kamienne, których szczyt zawsze był obity blachą, żeby roztrącał chmury grożące burzą — jak opiewa napis na świątyni w Edfu.

* **Które narody nie używają soli?** W zamierzchłej przeszłości sól była mało znaną; ludy pasterskie, żywiące się przeważnie mięsem i rybami, nie uczuwały jej potrzeby, dopiero z rozwojem rolnictwa stała się ona konieczną przyprawą. Grecy i Rzymianie do ofiar mięsnych, składanych bogom, nie używali soli; tylko ofiary z płodów roślinnych były solone. Mojżesz poleca, ażeby ofiary, składane w świątyni, były solone. Ludy indo-germańskie, dopóki zamieszkiwały stoki gór Belur-tagu i żyły z polowania, nie znały także soli; dopiero kiedy olbrzymia ich fala rozlała się po równinach środkowej Europy i zaczęła uprawiać ziemię, sól zjawia się u nich, jako przyprawa.

Starożytni pisarze wspominają wielokrotnie, w jaki sposób sól otrzymywano. Przemysł ten najwyżej stał u Celtów, którzy już na 200, a nawet na 300 lat przed Chrystusem, posiadali kopalnie soli. Germanowie wznosili stosy gałęzi w pobliżu źródeł słonych i zapaliwszy je, oblewali wodą. Po wygaśnięciu, węgle były pokryte słoną skorupą, którą dodawali do potraw po sproszkowaniu.

Finnowie, żyjący z rybołóstwa i polowania, dotąd nie posiadają własnego wyrazu na oznaczenie soli i nie używają jej wcale. Niektóre szczepy koczownicze spożywają mięso bez soli. Georgi pisze, że Samojedzi, Ostyacy i Buryaci nie znają jej zupełnie. Tak samo Lapończycy. Potwierdzają to inni podróżnicy, znający dobrze tundry i ludy wschodnie. Pr. Schwarz żył przez trzy miesiące między Tunguzami, jadł wyłącznie mięso renów i ptactwa leśnego, bez soli.

W Indyach zamieszkuje mało znany lud pasterski, wśród bagien, zwany Tudas; żywią się oni mlekiem i mięsem bawołów, soli nie znają zupełnie. Beduini także soli nie używają i śmieją się na widok Europejczyków, solących potrawy. Buszmeni, w południowej Ameryce, obywają się bez soli; pokarm ich stanowią węże, mrówki, jaszczurki i szarańcza. Ale u szczepów murzyńskich, trudniących się rolnictwem, sól stanowi niezbędną przyprawę. Murzyn za sól gotów sprzedać żonę i dzieci. Mieszkańcy wysp Wielkanocnych piją z największym smakiem wodę morską.

ŻARTY.

W poszukiwaniu willi.

— Jakto? trzysta rubli za willę o trzech pokoikach?

— Tak.

— A przy niej stajnia?

— Po cóż stajnia przy tak małej willi?

— A gdzież stać będzie osioł, który wynajmie ją za tę cenę!?

Na ulicy.

— Patrz... czyjś bogaty ślub, może wstąpimy zobaczyć?...

— Nie pójdę — nie lubię patrzeć na ludzkie nieszczęście...

Poprawka.

— Po raz pierwszy widziałem wczoraj pańską żonę. To twarz typowa.

— Powiedz pan raczej ksantypowa.

Komu wierzyć!?

Żona: Och mężu, już trzecia! Tak późno przychodzisz do domu!

Mąż: Dopiero dziesiąta!

Żona: Ależ patrz na zegar — trzecia!

Mąż (z goryczą): Więc głupiemu zegarowi bardziej wierzysz, aniżeli mnie!

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.